



Samo życie – Grzegorz Wojdon (Lowa Apuchow) i Joanna Gonschorek (Róża)

Najnowsza premiera Teatru im. Heleny Modrzejewskiej w Legnicy

BALLADA

Zakaczawie to odpowiednik warszawskiej Pragi i łódzkich Bałut, przedmieście Legnicy, słynące z niebezpiecznych ulic i szemranych interesów, a zarazem z barwnych anegdot o mieszkających tu ludziach

Zeby dotrzeć na to przedstawienie, trzeba najpierw przejść most na rzecę Kaczawie, która dzieli Legnicę na dwie nierówne części, ominąć bramy, w których diżurnują młodzi mężczyźni w dresach, przemknąć się przez słabo oświetlone ulice pod odrapaną fasadą kina Kolejarsz. Tam, w sali, w której ostatni film wyświetlono dwadzieścia lat temu, legnicki teatr gra od miesiąca „Balladę o Zakaczawiu”. Dzięki teatrowi dzielnicowe kino żyje drugim życiem.

– Wybraliśmy kino Kolejarsz, bo to serce Zakaczawia. Przewijają się przez wszystkie opowieści i legendy tej dzielnicy – mówi Jacek Głomb, szef legnickiego teatru i reżyser przedstawienia.

Zakaczawie to odpowiednik warszawskiej Pragi i łódzkich Bałut, przedmieście słynące z niebezpiecznych ulic i szemranych interesów, a zarazem z barwnych anegdot o mieszkających tu ludziach. Jacek Głomb i współautor scenariusza Krzysztof Kopka przez wiele miesięcy zbierali autentyczne opowieści z Zakaczawia, aby na ich motywach zbudować spektakl. Przed ostateczną redakcją oddali materiał Maciejowi Kowalewskiemu, aktorowi z Wrocławia, który wszystkiemu dodał dystansu. Powstała sztuka, której bohaterem zbiorowym jest cała dzielnica.

Wehikuł czasu

Kiedy na sali gaśnie światło, znikają łuszczące się ściany i dziurawa podłoga. Zrujnowane kino zmienia się w wehikuł czasu. Przed moimi oczami przewijają się jak film pół wieku historii ziem zachodnich: od wojny na powódź 1997 roku. W 1945 roku patrzą na repatriantów ze Wschodu, wysypujących się z towarowych wagonów na bocznicę w Liegnitz. W 1958 roku siedzą na zebraniu Towarzystwa Miłośników Lwowa. W 1963 roku oglądam z bohaterami w nowym kinie Polską Kronikę Filmową. Cztery lata później jestem na meczu bokserskim między reprezentacją miasta i radzieckiego garnizonu. Kibicuję Benkowi Cyganowi, który walczy z szeregowcem Lową w wadze lekkopółśredniej.

Przez zaimprovizowaną scenę przewijają się ludzkie kalejdoskopy: złodzieje, ich kochanki, towarzysze partyjni, funkcjonariusze Milicji Obywatelskiej, żołnierze z radzieckiego garnizonu, sportow-

cy, Cyganie, Rosjanie, Niemcy, Polacy. Nie słyszałem jeszcze w polskim teatrze tylu języków i akcentów naraz: oprócz polskiego brzmi tu gwara śląska, rosyjski oraz łamana ruszczyzna, za pomocą której Polacy załatwiają interesy z żołnierzami. Jest też gwara lwowska, którą mówią repatrianci, a także pojedyncze niemieckie słowa, które wtrąca jeden z bohaterów, emerytowany kościelny z parafii ewangelickiej. Autorzy „Ballady” zamknęli w języku pół wieku powojennej historii ziem zachodnich.

Jackowi Głombowi udało się uchwycić w „Balladzie” duch miejsca. To ukoronowanie jego doświadczeń ze spektaklami w przestrzeni miasta, po „Złym” Tyrmanda, grany w dawnej fabryce czołgów, i „Koriolanie”, wystawionym w koszarach Armii Radzieckiej. Stare kino gra tu samo siebie i kiedy operator na balkonie włącza projektor z Polską Kroniką Filmową, w mgnieniu oka przenosimy się o pół wieku wstecz. Zachwyca dbałość o szczegóły: bohaterowie nie tylko piją charakterystyczne dla każdej epoki napoje (siwucha w latach 50., peweksowskie „żyto” w 80. i eksportowe butelki z uchem w 90.), ale także palą oryginalne radzieckie papierosy z oryginalnej radzieckiej papierosnicy w kształcie biblioteczki z dziełami klasyków. Zachwyca muzyka Bartka Straburzyńskiego, który w dźwiękach akordeonu uchwycił klimat przedmieścia. Dzięki filmowemu montażowi trzy godziny przedstawienia mijają jak ekscytujący seans, podczas którego nie ma czasu spojrzeć na zegarek. Aktorzy uwijają się jak diabły w piekle, nie gubiąc przy tym uczuć i sensów. Bardzo dobrzy są Przemysław Bluszczyk jako Benek, gangster i sportowiec, i Katarzyna Dworak jako Janina Dębówna, narratorka przedstawienia, taksówkarka z Bytomia.

Utracony raj

Ale spektakl legnicki opowiada nie tylko o dzielnicy jednego z miast na ziemiach zachodnich, ale o każdym przedmieściu, gdzie na marginesie wielkiej historii ludzie rodzą się, kochają i umierają. Opowieść ta nie jest pozbawiona ciekawych wzruszeń, jak to w balladzie bywa. Romans głównego bohatera, gangstera Benka, Cygana, ze striptizerką mógłby stać się kanwą literatury pociągowej, podobnie jak zakończona tragicznym fina-

łem miłość radzieckiego szeregowca do dziewczyny z piekarni. Tym melodramatycznym historiom autorzy scenariusza nadali jednak rangę uniwersalnej opowieści. To „Ballada” o odchodzeniu świata takich wartości, jak honor, lojalność, przyjaźń i wierność. O utraconym raju dzieciństwa. O chłopcach, dla których wzorem na całe życie pozostał Winnetou, bohater NRD-owskich filmów według Karola Maya. Kiedy są już dorosłymi, zatwardziałymi przestępcami, wciąż zastanawiają się, jak na ich miejscu postąpiłby bohaterki wódz Apaczów. W rewelacyjnej ostatniej scenie wszyscy siadają do stołu, aby uczestniczyć w stypie po minionym świecie, żywi pospół z umarłymi. Te wypominki mają siłę współczesnych „Dziadów”.

Rzeczywistość skrzeczy

Wieczorem dwie przecznice dalej, w lokalu dawnej restauracji Cygańska, która występuje w spektaklu, odbywa się spotkanie z mieszkańcami Zakaczawia na temat przyszłości dzielnicy. Z sali płyną gorzkie słowa: dzielnica dogorywa, nieremontowane od wojny kamienice umierają jedna po drugiej, straszy nieczynne kino. Legnica tak jak Polska dzieli się na lepszą i gorszą. W tej lepszej powstają sklepy, domy kultury i place zabaw, tę gorszą władze pozostawiły własnemu losowi.

Jedynym wyremontowanym lokalem na Zakaczawiu jest stołówka charytatywna, którą w dawnej restauracji otworzył ksiądz Jan Mateusz Gacek. Tam, gdzie przed laty opijali swoje sukcesy bohaterowie „Ballady o Zakaczawiu”, dzisiaj wydaje się darmowe obiady. Codziennie przychodzi tu czterysta osób. To druga strona mitu o Zakaczawiu, „dzielnicy cudów”.

Ksiądz Gacek uważa „Balladę” za wielki sukces. Do teatru przyszło oprócz ludzi z miasta prawie 200 mieszkańców dzielnicy. Specjalne bilety po 5 złotych kupowali w barze Parady.

Jest coś symbolicznego w tym, że tą zapomnianą przez wszystkich dzielnicą zajmują się na spółkę ksiądz i reżyser teatralny. Jeden karmi darmową zupą, drugi – legendą. Kiedy wracam nocą przez Kaczawę, już nie wiem, która z nich jest strawą materialną, a która duchową.

ROMAN PAWŁOWSKI



Samo życie – Grzegorz Wojdon (Lowa Apuchow) i Joanna Gonschorek (Róża)

Najnowsza premiera Teatru im. Heleny Modrzejewskiej w Legnicy

BALLADA

Zakaczawie to odpowiednik warszawskiej Pragi i łódzkich Bałut, przedmieście Legnicy, słynące z niebezpiecznych ulic i szemranych interesów, a zarazem z barwnych anegdot o mieszkających tu ludziach

Żeby dotrzeć na to przedstawienie, trzeba najpierw przejść most na rzece Kaczawie, która dzieli Legnicę na dwie nierówne części, ominąć bramy, w których dyżurują młodzi mężczyźni w dresach, przemknąć się przez słabo oświetlone ulice pod odrapaną fasadą kina Kolejarskiego. Tam, w sali, w której ostatni film wyświetlono dwadzieścia lat temu, legnicki teatr gra od miesiąca „Balladę o Zakaczawiu”. Dzięki teatrowi dzielnicowe kino żyje drugim życiem.

Wybraliśmy kino Kolejarskie, bo to serce Zakaczawia. Przewija się przez wszystkie opowieści i legendy tej dzielnicy – mówi Jacek Głomb, szef legnickiego teatru i reżyser przedstawienia.

Zakaczawie to odpowiednik warszawskiej Pragi i łódzkich Bałut, przedmieście słynące z niebezpiecznych ulic i szemranych interesów, a zarazem z barwnych anegdot o mieszkających tu ludziach. Jacek Głomb i współautor scenariusza Krzysztof Kopka przez wiele miesięcy zbierali autentyczne opowieści z Zakaczawia, aby na ich motywach zbudować spektakl. Przed ostateczną redakcją oddali materiał Maciejowi Kowalewskiemu, aktorowi z Wrocławia, który wszystkiemu dodał dystansu. Powstała sztuka, której bohaterem zbiorowym jest cała dzielnica.

Wehikuł czasu

Kiedy na sali gaśnie światło, znikają łuszczące się ściany i dziurawa podłoga. Zrujnowane kino zmienia się w wehikuł czasu. Przed moimi oczami przewija się jak film pół wieku historii ziem zachodnich: od wojny po powódź 1997 roku. W 1945 roku patrząc na repatriantów ze Wschodu, wysypujących się z towarowych wagonów na bocznicę w Liegnitz. W 1958 roku siedzę na zebraniu Towarzystwa Miłośników Lwowa. W 1963 roku oglądam z bohaterami w nowym kinie Polską Kronikę Filmową. Cztery lata później jestem na meczu bokserskim między reprezentacją miasta i radzieckiego garnizonu. Kibicuję Benkowi Cyganowi, który walczy z szeregowcem Lową w wadze lekkośredniej.

Przez zaimprovizowaną scenę przewija się ludzki kalejdoskop: złodzieje, ich kochanki, towarzysze partyjni, funkcjonariusze Milicji Obywatelskiej, żołnierze z radzieckiego garnizonu, sportow-

cy, Cyganie, Rosjanie, Niemcy, Polacy. Nie słyszałem jeszcze w polskim teatrze tylu języków i akcentów naraz: oprócz polskiego brzmi tu gwara śląska, rosyjski oraz łamana ruszczyzna, za pomocą której Polacy załatwiają interesy z żołnierzami. Jest też gwara lwowska, którą mówią repatrianci, a także pojedyncze niemieckie słowa, które wtrąca jeden z bohaterów, emerytowany kościelny z parafii ewangelickiej. Autorzy „Ballady” zamknęli w języku pół wieku powojennej historii ziem zachodnich.

Jackowi Głombowi udało się uchwycić w „Balladzie” duch miejsca. To ukośnienie jego doświadczeń ze spektaklami w przestrzeni miasta, po „Złym” Tyrmanda, granym w dawnej fabryce czołgów, i „Koriolanie”, wystawionym w koszarach Armii Radzieckiej. Stare kino gra tu samo siebie i kiedy operator na balkonie włącza projektor z Polską Kroniką Filmową, w mgnieniu oka przenosimy się o pół wieku wstecz. Zachwyca dbałość o szczegóły: bohaterowie nie tylko piją charakterystyczne dla każdej epoki napoje (siwucha w latach 50., peweksowskie „żyto” w 80. i eksportowe butelki z uchem w 90.), ale także palą oryginalne radzieckie papierosy z oryginalnej radzieckiej papierosnicy w kształcie biblioteczki z dziełami klasyków. Zachwyca muzyka Bartka Straburzyńskiego, który w dźwiękach akordeonu uchwycił klimat przedmieścia. Dzięki filmowemu montażowi trzy godziny przedstawienia mijają jak ekscytujący seans, podczas którego nie ma czasu spojrzeć na zegarek. Aktorzy uwijają się jak diabły w piekle, nie gubiąc przy tym uczuć i sensów. Bardzo dobrze są Przemysław Bluszcz jako Benek, gangster i sportowiec, i Katarzyna Dworak jako Janina Dębowna, narratorka przedstawienia, taksówkarka z Bytomia.

Utracony raj

Ale spektakl legnicki opowiada nie tylko o dzielnicy jednego z miast na ziemiach zachodnich, ale o każdym przedmieściu, gdzie na marginesie wielkiej historii ludzie rodzą się, kochają i umierają. Opowieść ta nie jest pozbawiona ciekawych wzruszeń, jak to w balladzie bywa. Romans głównego bohatera, gangstera Benka, Cygana, ze striptizerką mógłby stać się kanwą literatury pociągowej, po-

dobnie jak zakończona tragicznym finałem miłość radzieckiego szeregowca do dziewczyny z piekarni. Tym melodramatycznym historiom autorzy scenariusza nadali jednak rangę uniwersalnej opowieści. To „Ballada” o odchodzeniu świata takich wartości, jak honor, lojalność, przyjaźń i wierność. O utraconym raju dzieciństwa. O chłopcach, dla których wzorem na całe życie pozostał Winnetou, bohater NRD-owskich filmów według Karola Maya. Kiedy są już dorosłymi, zatwardziałymi przestępcami, wciąż zastanawiają się, jak na ich miejscu postąpiłby bohaterki wódz Apaczów. W rewelacyjnej ostatniej scenie wszyscy siadają do stołu, aby uczestniczyć w styku po minionym świecie, żywi pospół z umarłymi. Te wypominki mają siłę współczesnych „Dziadów”.

Rzeczywistość skrzeczy

Wieczorem dwie przecznice dalej, w lokalu dawnej restauracji Cygańska, która występuje w spektaklu, odbywa się spotkanie z mieszkańcami Zakaczawia na temat przyszłości dzielnicy. Z sali płyną gorzkie słowa: dzielnica dogorywa, nieremontowane od wojny kamienice umierają jedna po drugiej, straszy nieczynne kino. Legnica tak jak Polska dzieli się na lepszą i gorszą. W tej lepszej powstają sklepy, domy kultury i place zabaw, tę gorszą władze pozostawiły własnemu losowi.

Jedynym wyremontowanym lokalem na Zakaczawiu jest stołówka charytatywna, którą w dawnej restauracji otworzył ksiądz Jan Mateusz Gacek. Tam, gdzie przed laty opijali swoje sukcesy bohaterowie „Ballady o Zakaczawiu”, dzisiaj wydaje się darmowe obiady. Codziennie przychodzi tu czterysta osób. To druga strona mitu o Zakaczawiu, „dzielnicy cudów”.

Ksiądz Gacek uważa „Balladę” za wielki sukces. Do teatru przyszło oprócz ludzi z miasta prawie 200 mieszkańców dzielnicy. Specjalne bilety po 5 złotych kupowali w barze Paradys.

Jest coś symbolicznego w tym, że tą zapomnianą przez wszystkich dzielnicą zajmują się na spółkę ksiądz i reżyser teatralny. Jeden karmi darmową zupą, drugi – legendą. Kiedy wracam nocą przez Kaczawę, już nie wiem, która z nich jest strawą materialną, a która duchową.

ROMAN PAWŁOWSKI